



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Góral czarnogórski.



Góralka czarnogórka.

ALBANIA.

Albania, przez krajowców zwana *Szkipery* czyli *Kraina skal*, leży na północno-zachodnim krańcu półwyspu Bałkańskiego i wybornie usprawiedliwia swą nazwę, cała jest bowiem poprzeczana pasmami gór kamienistych, a od innych państw europejskich oddzielają ją Alpy, zwane północno-albańskimi. Od Macedonii odgraniczają ją stoki Pindusu, zachodni jej kraniec pochyła się ku morzu Adryatyckiemu a przebiegające

ją pasma gór, łączą się z sobą za pośrednictwem licznych płaskowzgórzy, z których niejedno niedostępne jest prawie. Takim naprzykład jest płaskowzgórze północnej Albanii, na zachód od Skaru, najwyższego na Bałkańskim półwyspie wzniesienia.

Ludność albańska czyli *Szkipetarska*, dzieli się na dwie główne rasy Gegów i Tosków; pochodzą one zapewne od przedhistorycznych Pelazgów, ale zmieszały się w przeciągu wieków z żywiołem słowiańskim, bułgarskim i rumuńskim.

Gegowie zajęli północ, Toskowie osiedli na południu:

oba plemiona nieprzyjaźnie są względem siebie usposobione i mówią narzeczami zupełnie odmiennymi, a odznaczającemi się niezwykle bogactwem i wyrobieniem. Jedni i drudzy dzielą się na mnóstwo rodów, z których każdy rządzi się własnymi prawami. Nazwa *Malj-i-sor*, przysługuje tym tylko plemionom, które mieszkają na północ od rzeki, powstałej z połączenia Czarnego i Białego Drynu, i Drynem także zwanej.

Przeszło półtora miliona Albańczyków - Szkipetarów, których Turcy zowią Arnautami, pozostaje pod zarządkiem dwóch gubernatorów tureckich, władzy tych ostatnich nie uznają wszakże górskie plemiona Miredytów i Dibrów.

Dzieje Albanii bogate są w wydarzenia, dostarczające poezji ludowej bogatego materiału epicznego. Gdy pod Nemaniczami upadło ostatecznie carstwo serbskie, jeden z wodzów serbskich, Balsza, zdobył Zentę (Czarnogórę) z jej ówczesną stolicą Skodra. Syn jego, Balsza II, zdobył Dracz (Durazzo), utracił go potem i zginął w walce z Turkami. Najkrwawsze wszakże z nimi boje toczył Jerzy, wnuk Balszy I-go, tracąc pięćdziesiąt ziem przez dziada zdobyte, aż wreszcie, gdy sułtan sprzedawszy mu Dracz, orężem chciał gród ten odebrać, Jerzy ofiarował miasto *Rzplitej* weneckiej (1421) błagając o pomoc. Wenecyanie obdarzyli miasto wielkimi przywilejami, inny wszakże potomek Balszy odebrał je razem z oddaną także Wenecyanom Zentą, skąd wyrodziły się znowu długoletnie spory pomiędzy Albaniją a Wenecją. Wojny z Turkami niepomysłnie szły także; książę Jan Kastrjota, oddać musiał sułtanowi czterech synów jako zakładników. Jeden z nich Jerzy, zmuszony przejść na wiarę mahometańską, zasłynął potem jako bohater Albanii pod imieniem Skanderbega, i w r. 1443 ponowił wojnę z Turcją, a w rok potem przyrzekł pomoc walczącym pod Warną zastępom i tylko zatrzymany przez króla serbskiego nie zdążył przybyć w porę. Liczne zwycięstwa odniesione nad Turcją sprawiły, że papież i inni monarchowie chrześcijańscy ślali do niego poselstwa z powinszowaniem i przysyłali mu znaczne kwoty na prowadzenie wojny z niewiernymi. Trwała ona już od lat 18-tu gdy w r. 1461 sułtan Mahomet II napisał do Skanderbega uprzejmy list z prośbą o pokój, a w rok potem zawarł z nim traktat, mocą którego zrzekł się wszelkich pretensyj do Albanii i uznał Skanderbega za prawowitego jej księcia. Pokój ten nie trwał jednak długo, bo Skanderbeg posłuszny wezwaniu Piusa II przyłączył się do zamierzonej przeciwko niewiernym krucjaty. Śmierć papieża przeszkodziła spełnieniu zamiarów i pozostawiła Skanderbega własnym jego siłom. „Przyjdźcie nam z pomocą — pisał do papieża Pawła II — gdyż może wkrótce po tamtej stronie Adryatyku polegnie ostatni żołnierz Chrystusów”. Papież pomocy mu dać nie mógł, o własnych więc siłach prowadził wojnę Skanderbeg, aż dopóki w r. 1467 nie zakończył obfitego w wielkie czyny żywota. „Runęły wały Epiru i jego warownie — z boleścią wołał wódz jego Dukaszyn — znikła cała siła nasza, powalona jest cała potęga nasza, razem z mężem tym zmarła dla nas nadzieja”. A sułtan, gdy mu o śmierci Skanderbega doniesiono, odezwał się: „Do mnie teraz Europa i Azja należą; biada chrześcijaństwu, utraciło ono miecz i tarczę”.

Zwłoki jego pogrzebane w kościele, zabrali potem Turcy, którzy podobno podzielili się kośćmi jego, jako amuletami, mającemi im zapewnić pozyskanie sławy wojennej.

Po śmierci Skanderbega, miasta górnej Albanii zajęte zostały przez Wenecyan, którym ustąpił je bohater mocą po-

tajemnej umowy a jednocześnie naszli Turcy Albaniją. W r. 1477 Mahomet II z ogromnym wojskiem obległ Kroję, która po całorocznym oporze poddać się musiała, poczem obległ Skodra, tej wszakże zdobyć nie mógł, aż dopiero na mocy dobrowolnego układu, Wenecyanie odstąpili ją Turkom. Potem już, zdobycie Albanii było tylko kwestyą czasu: w r. 1501 Turcy zabrali Dracz i z ziem zabranych utworzyli jeden paśzalyk, którym zarządzał basza z poręki tureckiej. Pomiędzy nimi byli i tacy, którzy wystąpili do walki z Turcją, ale pomimo to Albania i Czarnogóra nie odzyskały już autonomii, a dzisiejsi jej mieszkańcy, jakkolwiek przeszłości narodu swego pamiętują, pozostają jednak pod panowaniem tureckim. Zwyczaje ich, obyczaje, pieśni, tryb życia tak są odrębne od naszych, że warto zapoznać się z nimi bliżej, co też w jednym z następnych numerów uczynimy.

MARZYCIELKA.

Matusia mi w domu
Kazali robotę.
A mnie coś tak ciągnie
Na ściernie, na złote.

Wyjęli matusia
Lnu z ciemnej komory,
I prząść mi kazali,
Bo dzionek już spory.

Oj przędłabym, matko,
Ilebyście chcieli,
Gdybym mgłą siweńką
Miała na kądzieli!

Oj przędłabym, matko,
Jak tylko potrzeba,
Ale promyk słońca
Z przejasnego nieba!

A z tego prześliva
Pociechy jak wiele!
Koszulkiby były
Aniolkom w kościele.

Lecz słońce nie moje,
Nie moje mgły jasne,
Ze lnu mi białego
Koszulki prząść własne!

Iza.

ROZDOSIciel.

(Dokończenie).

— O, jestem mocny! — zawołał Antek z zapałem. — Jestem bardzo silny, niech pani spróbuje, niech mi pani raz zaufa, znam drogę do Colombara.

— Ale paczka jest duża, ciężka, boję się, żebyś nie upuścił jej przypadkiem albo sam nie spadł.

— O, jestem przyzwyczajony biegać po górach; przyrzekam panience, że jej strzedz będę, jak żrenicy w oku — zawołał, ręce składając błagalnie. — Niech się pani zlituje nademną i powierzy mi ten pakunek, a zobaczy pani, jak prędko odniosę go na miejsce.

— Taki ciężki... — mówiła, wahając się, dziewczyna.

— Jestem silny.

— No, spróbuj — rzekła wskazując paczkę. Nie, niema o czem mówić, toć ona większa od ciebie.

— Eh, tak źle nie jest, o, proszę zobaczyć! Niech się pani nie boi, dam sobie z nią radę.

I uszczęśliwiony, z błyszczącym spojrzeniem przesunął kawał kija pod sznur, którym była związana i oparł drzewo na ramieniu.

— Lekkie jak piórko — rzekł wesoło, uginając się prawie do ziemi pod ciężarem pakunku. — Wrócę tu jutro, może znowu będą jakie paczki do odesłania w góry. Znam wszystkie drogi doskonale.

— Zobaczmy, tymczasem odnieś to do Colombara, a dostaniesz 5 soldów. Szczęśliwej drogi, mój mały, a pamiętaj, spraw się dobrze.

— Do widzenia jutro — rzekł Antek, i wyszedł z oberżym dumny jak król, po zwycięstwie nad potężnym wrogiem.

Paczka była ciężka, ale chłopiec szedł żwawo naprzód, nie czując znużenia, uszczęśliwiony, że znalazł zajęcie, że coś przyniesie już dzisiaj do domu i zapracuje na matkę i siostrę. Widocznie córka oberżysty była dla niego dobrą wróżką, bo jej spotkanie przyniosło mu szczęście. Teraz mu nie zbraknie roboty, byle tylko sił wystarczyło.

Tak sobie myślał, gdyż paczka ciążyła mu coraz bardziej, kiedy szedł po stromej ścieżce, prowadzącej do folwarku. Nie było mu teraz zimno; przeciwnie, z pod kapelusza spływały z czoła duże krople potu, ramiona bolały mocno, ale szedł wciąż dalej, myślar o słowach Franka, Luci, o chorej matce, a także i o pieniądzach, które przyniesie do domu.

Droga trwała przeszło godzinę, zanim nakoniec zmęczony znalazł się na folwarcznym podwórzu.

Młoda dziewczyna pierwsza wybiegła naprzeciw niemu pytając, czy oprócz paczki niema listu do niej.

— Dali mi tylko ten pakunek — odparł — ale jutro upomnę się o list dla pani.

— Pamiętaj, chłopcze, do Agaty Sorel, za każdy dam ci 5 centymów, całego solda! Masz tu pieniądze za paczkę i wypij kieliszek wina, to cię pokrzepi i rozgrzeje.

Zbiegając z góry, Antek skakał i śpiewał z radości; zdawało mu się, że jest bogaczem, szczęśliwym, że posiada skarb nieprzebrany i że nie potrzebuje się lękać o przyszłość matki i siostry.

Po drodze kupił mleka, chleba i wesoły, rozpromieniony zjawił się nakoniec w chatce.

Mała siostrzyczka powitała go radośnie, lecz matka była bardzo niespokojną, gdzie się tak długo podziewał.

— Musisz się do tego przyzwyczaić, mamo — odparł Antek wesoło, całując jej ręce — przestałem już być dzieckiem, nic mi się nie stanie, jestem waszym opiekunem i pracuję na chleb.

Potem opowiedział jej swoje przygody, a matka słuchała, płacząc ze wzruszenia i z żalu, że sama nie jest w stanie pracować na dzieci.

— Gdyby mi nie zabrano Franciszka — mówiła — nie potrzebowałbyś, biedaku, troszczyć się o nas jeszcze. Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko.

Odtąd Antek codziennie wychodził z domu rano, a wracał dopiero przed wieczorem. Matka i siostra czekały na niego z wieczera, a on im za to opowiadał wieści, których się nasłuchiwał po świecie. Matka wdychała czsem i pytała, czy nie wie co o Franciszku, który nie pisał dotąd.

Tak w krótkim czasie 12 letni chłopiec stał się znanym w okolicy jako roznosiciel listów. W chatkach i na folwarkach witano go życzliwie, wyczekiwano nieraz z utęsknieniem, a on wśród wichru, deszczu, niepogody, po śliskich, niebezpiecznych ścieżkach przebywał góry, parowy, i nieraz obciążony znacznymi nawet pakunkami, szczęśliwie przecież zawsze i bez szkody spełniał dane mu polecenia.

Córka oberżysty polubiła go szczerze, ale przestrzegala często, że jeśli zgubi list jaki, nigdy już więcej nie dostanie zajęcia od niej.

Antoś zapewniał ją, że może być spokojną i uszczęśli-

wiony codziennie przynosił do domu kilka soldów albo kupione zapasy.

Dni upływały szybko, zima była surową, zmrok coraz wcześniej zapadał i Antek coraz bardziej śpieszyć się musiał, aby nie być zaskoczonym przez noc podczas niebezpiecznej wędrówki. Powracał też zwykle bardzo zmęczony i głodny i wszyscy wcześniej kładli się na spoczynek, bo i matka widocznie coraz słabszą była, a najmniejsze zajęcie nużyło ją niezmiernie. Dręczył ją także niepokój o syna, który nie nadysłał żadnej wieści. Antek odgadywał to ze smutnych spojrzeń, któremi go badała, gdy wracał do domu.

I on zaczynał być także niespokojnym: Franek przyrzekł pisać niedługo, a tymczasem jak gdyby zapomniał o nich zupełnie.

Zwierzył się z tym kłopotem dziewczynie z Colombara, której narzeczony służył także w wojsku, ale pisywał dość często, a za każdy list od niego dostawał Antek 5 centymów.

Agata wysłuchiwała go ze szczerem współczuciem i zaczęła nawzajem mówić o Henryku, powtarzając, jaki on dobry i jak o niej myśli.

— Nie może nikt być lepszym od Franka — rzekł Antoni wzruszonym głosem -- on myśli tylko o nas, a odchodząc mówił, że uda się na południe, gdzie posyłają ochotników tylko, bo ludzie mrą od gorąca, ale za to można tam zebrać trochę pieniędzy. Naraża się więc na śmierć, aby nam pomóc... kto może być lepszym od niego? O, gdybym mógł zanieść mamie jaką wiadomość o nim, jakżebym się czuł szczęśliwym!

— Słuchaj — rzekła Agata — chorych trzeba uspakajć, powiedz twojej matce, że Franek służy w jednym pułku z Henrykiem, i że tymczasem przez niego przesyła jej pozdrowienie,

Antek podziękował jej za dobrą radę i wieczorem zaraz matce powtórzył, że słyszał w Colombarze, iż Franek zdrowy, bo służy razem w jednym pułku z narzeczonym panny Agaty.

Biedna kobieta ucieszyła się tą wieścią i uściskała za nią syna, a Antoś pomimo popełnionego kłamstwa nie miał wyrzutów sumienia.

Zdarzało się jednak niekiedy, że dylizans wcale nie przychodził na pocztę, a wówczas nie było żadnych listów do roznoszenia i Antoś smutny wcześniej do domu powracał. Powodem tego były wielkie zasypy śniegu, które w wielu miejscach przerwały komunikację. Zima ta niezwykle była śnieżną i ostrą, a w taką pogodę drogi stawały się niebezpieczne, śmierć groziła na każdym kroku i matka codziennie prosiła Antosia, aby z domu nie wychodził, gdyż łatwo może zabłądzić w zadymce albo spaść w przepaść i zginąć.

On przecież w tem tylko jednym nie był jej nigdy posłusznym... Całował ręce jej ze łzami, ścisnął małą siostrzyczkę i wybiegał na śnieg i wichur, nie wiedząc, czy wróci, byle choć z narażeniem życia zyskać potrzebne dla nich środki utrzymania.

Biedna chłopczyzna czuł się jednak coraz bardziej zmęczonym zbolałe, odmrożone nogi odmawiały mu posłuszeństwa i nieraz myślał z trwogą, że zbraknie mu siły, aby powrócić do domu. A prócz tego dręczył go niepokój o brata. Od Franka nie było wieści, a słyszał od tych, co mieli braci i synów w Afryce, że tam się biją nie na żarty, i że niedawno właśnie była wielka bitwa, w której wielu żołnierzy raniono i zabito.

Nie mówił nic o tem matce, ale uciekał z domu, aby nie patrzeć na jej smutek i cierpienia i nie zdradzić pomimo woli, jakie obawy i troski dręczyły mu duszę.

Lecz życie takie z dniem każdym wyczerpywało jego siły, coraz ciężej mu było kryć przed matką wszystkie udęczenia trwogi, a wiedział, że musi być jej podporą i opieką, więc starał się o twarz spokojną i uśmiech nieszczery. Było to tem trudniejszym dla niego, że choroba matki postępowała szybko i widocznie, i codziennie wracał ze ściśniętym sercem, niepowien czy ją żywą zastanie.

Aż dnia pewnego na pocztę doręczono mu karteczkę

od burmistrza, który wzywał matkę jego do urzędu, dla odebrania ważnych wiadomości.

Serce Antosia stukalo jak młotem, kiedy dnia tego powrócił do domu; nie wspomniął przecież o wezwaniu, bo postanowił nazajutrz sam dowiedzieć się pierwej, jaka to była sprawa.

Burmistrz popatrzył uważnie na chłopca i oznajmił mu na koniec, iż z urzędu ma rozkaz uwiadomienia ich o śmierci brata, który poległ pod Dogali w walce z arabami.

Antek patrzył na urzędnika, nie rozumiejąc prawie. Nie mógł uwierzyć. Przypuszczał z początku, że pan mer chce go przestraszyć, że żartuje, ale poważny staruszek, zapewnił go bez gniewu, że to prawda.

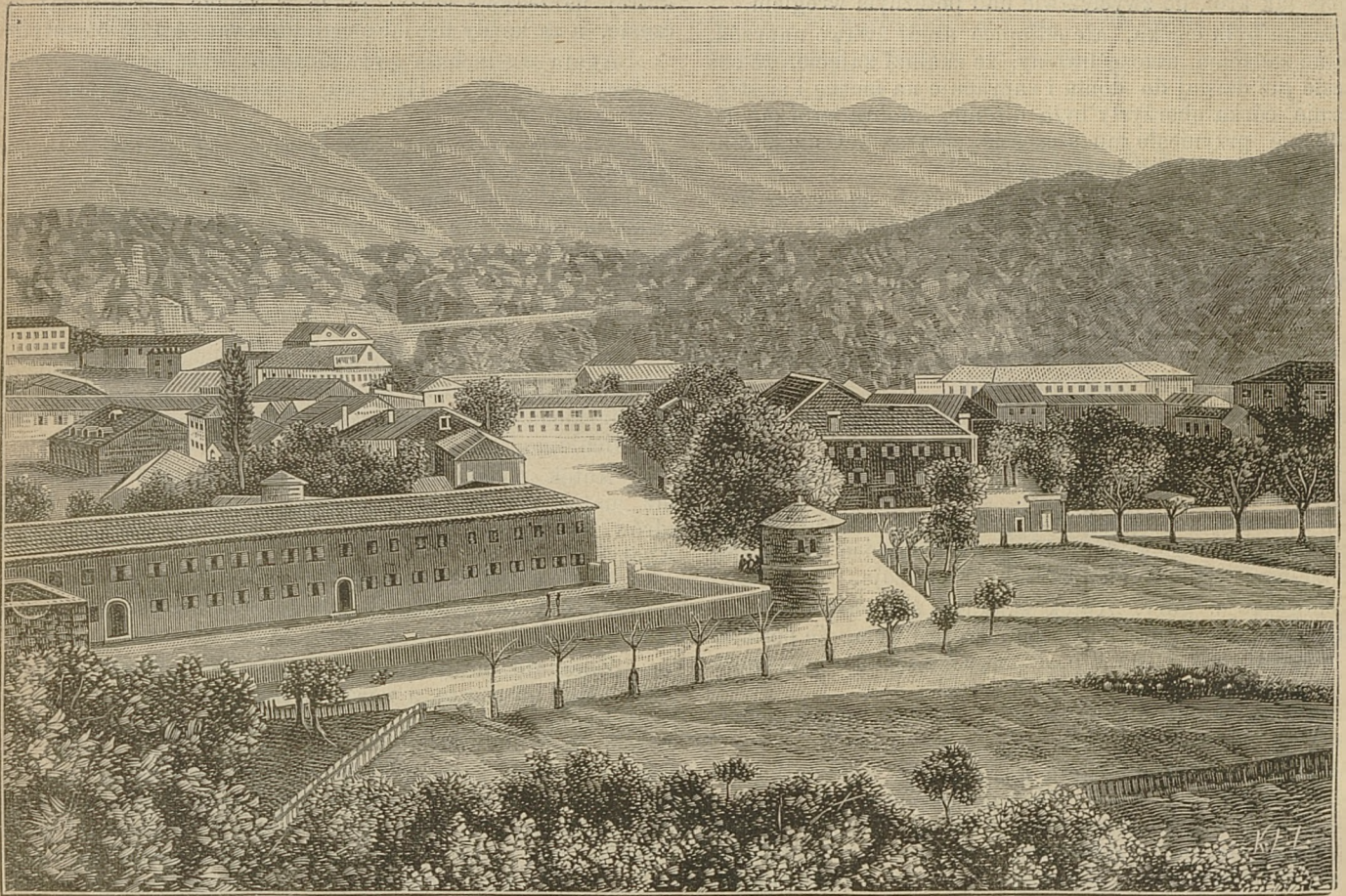
o bliskim powrocie. Szczęśliwą sama będąc, chciałaby 'cały świat wesołym widzieć, i jna pocieszenie wyniosła Antkowi koszyczek owoców, jaj oraz woreczek mąki, aby zaniósł to chorej matce.

Przyjął podarki, lecz myślał jedynie o biednym Franku, którego nie zobaczy więcej i o tajemnicy przed matką.

W domu chciał być swobodnym, bawić się z siostrzyczką, lecz łzy miał w oczach bezustannie, coś go ścisnęło za gardło, a krzyk rozpacz i bólu rwał mu się z piersi na usta.

— Co ci jest — rzekła matka — czemuś taki blady? Dlaczego patrzysz tak dziko? Czy cię kto skrzywdził?

— O, nie, droga mamu, zmęczony jestem — odparł cicho.



CETYNIA STOLICA CZARNOGÓRY.

— Niech ci to będzie pociechą, mój chłopcze, że poległ jak bohater — dodał ze współczuciem — dostałby medal, gdyby go nie zabito na miejscu, medal zasługi.

I cóż go to obchodzić mogło? Cóż mu z tego, że Franciszek walczył jak bohater, skoro nie zobaczy go nigdy? Ach, gdy pomyślał, że brat jego nigdy nie wróci do domu, ogarnęła go nagle rozpacz! A matka, matka, jak jej to powiedzieć? O, wolałby raczej nie widzieć jej wcale!

Wyszedł z urzędu blady i zgnębiony, nieszczęśliwy, jak nigdy w życiu, a nie wiedząc, co począć, jak ukryć przed matką tę okrutną nowinę, podążył do Colombara, aby poradzić się w swoim zmartwieniu i podzielić wielką boleścią.

Panna Agata wysłuchiwała opowiadania ze szczerem współczuciem i radziła także nic nie mówić matce, której dni i bez tego policzone. Biedaczka, prawdopodobnie nie przeżyłaby ciosu.

Nie mogła jednak być smutną dziewczyna, gdyż właśnie dziś odebrała od narzeczonego list, w którym ją zawiadamia

— Nie słyszałeś czego o Franku? Jaki niedobry, żeby nie napisać dotąd ani razu.

— Owszem, mateczko, pisał przez Henryka, widziałem list w Colombara, zdrów jest i każe cię uściskać.

Odwrócił głowę, aby nie patrzeć na matkę, która otulała Lucję ciepłą kołdrą.

— To dobrze — rzekła — ale powinienby przecie choć raz napisać do nas, ciągle jestem niespokojna.

Antoś nie odpowiedział, tylko od tej chwili wolałby wcale nie wracać do domu, żeby go matka nie pytała o Franciszka. Bawił też zwykle, jak mógł najdłużej w dolinie, a w domu stał się dziwnie milczącym i smutnym.

— Niedobry Antoś — skarżyła się Lucia — nie chce się bawić ze mną.

Chłopiec łzy polykał, brał na kolana siostrzyczkę i obiecywał zanieść ją do Colombara, jak będzie cieplej na świecie.

A matka tymczasem coraz była smutniejszą i słabszą i z niepokojem codziennie pytała o Franka: dręczyła ją myśl,

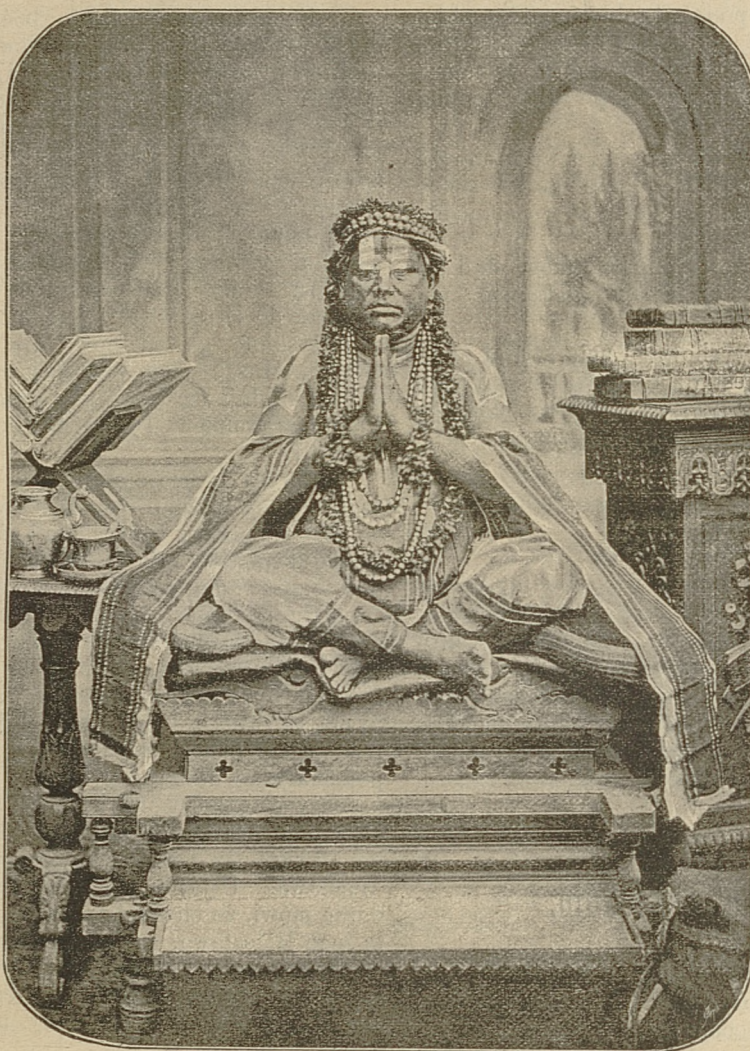
że zostawi biedne dzieci same, i chciała wiedzieć przynajmniej, że im nie zabraknie opieki starszego brata.

Minęła zima, zbliżała się wiosna, Antek blady, mizerny, ze spuszczonego wzrokiem odbywał codziennie drogę do obojętnej, a stamtąd w góry do chat i folwarków, roznosząc smutne i radośne wieści i myśląc o tych, którzy czekali go w domu.

Słońce świeciło coraz cieplej, jaśniej, zieleń się łąki

małą, rumianą siostrzyczkę, posługiwał matkę chorej i znękaną i kładł się wreszcie na spoczynek, aby ze świtem wstać znowu do codziennej pracy.

Lecz dnia jednego, wróciwszy do domu, zastał matkę omdlałą a Lucię zapłakaną przy niej. Biedna kobieta wyszła po raz pierwszy, zwabiona ciepłym promieniem słonecznym, spragniona widoku nieba, ludzkich twarzy, i oto zaraz na



KAPŁAN POGAŃSKI.

i drzewa w dolinie, ptaki świegotały wesoło, radośnie, strumień płynął ze szmerem, płynął daleko, gdzie może nie tak smutno, gdzie świat jakiś inny, tam także dążyły i chmurki na błękitnym niebie, i Antka więc ogarniało niekiedy pragnienie pójść gdzieś daleko, w kraj obcy, nieznanym nieoglądając się za siebie, tam gdzie stały smutne i blade wspomnienia, płoszące uśmiech szczęścia z jego ust dziecińczych.

Ale myśl o tych właśnie smutnych a kochanych zatrzymywała go silnie na miejscu, nie pozwalała marzyć o krajach dalekich. Wracał do chaty przed zachodem słońca, usypiał

wstępie, bez przygotowania, dowiedziała się o strasznym nieszczęściu, które Antek taił tak długo.

Na ten widok chwycił się za głowę chłopczyca i wybiegł z chaty, wołając ratunku. Zeszli się ludzie przybył i lekarz wioskowy, ale nie mogli wrócić ulatującego życia i zanim dzień nowy zaświtał, matka poszła połączyć się z Frankiem.

Lucia zasnęła w swym czystym łóżeczku, lecz Antek szlochał głośno, klęcząc przez noc całą przy umierającej matce, błagając, aby ich nie opuszczała.

Niestety, niepodobieństwem to było, wyczerpała się resz-

ta sił biedaczki i umierała cichutko, błogosławiąc syna i słabym głosem oddając mu Lucię w opiekę.

— Nie opuszczaj jej nigdy, nigdy — szeptała blademi usty.

On jej to przyrzekał, przysięgał, lecz czuł się tak słabym, że sam potrzebował opieki, jak dziecko... cóż więc mógł zrobić dla biednej sieroty?

Dobrzy ludzie zajęli się przecie pogrzebem, pocieszali biedne dzieci, lecz kiedy nakoniec brat i siostra zostali sami w pustej chacie, Antek zrozumiał, że tu żyć dłużej nie może.

Nazajutrz zabrał Lucię i zaniósł ją do Colombara, gdzie umieścił ją u pewnej poczciwej kobiety, której oddawał za to cały swój zarobek. Sam wrócił do dawnej pracy, a zarabiał więcej, gdyż był coraz silniejszym i starszym.

Siostry nigdy nie opuścił. Raz pewien podróżny, który bawił przez czas dłuższy w okolicy, upodobał sobie śmiałego chłopaka i chciał go zabrać w podróż po dalekich krajach, które wiedział bezustanie. Obiecywał mu za to dobre wynagrodzenie i życie, lepsze od nędznej włóczędzy zimą i latem ponad przepaściami.

Antek zarumienił się na myśl tej zmiany: zawsze marzył o dalekich, dalekich podróżach, świat ciągnął go do siebie jakąś tajemniczą siłą — lecz nagle poblądł na wspomnienie Luci.

— Dziękuję panu — rzekł spokojnie, nie mogę stąd się oddalać, mam małą siostrę, której jestem opiekunem, nie opuszczę jej nigdy w życiu.

I dotrzymał postanowienia: wychował Lucię, wydał ją za męża, sam przy niej zamieszkał i jest dziś jednym ze sławnych przewodników górskich, którzy z narażeniem życia ukazują podróżnym niedostępne piękności swej ojczystej ziemi.

ARCYKAPŁAN POGAŃSKI.

W Indyach, jak wiadomo, obok religii brahmińskiej i mahometańskiej, znajdują się także i wyznawcy Buddy, których arcykapłana przedstawia przyłączona tu rycina. Siedzi on w pozie *hieratycznej*, czyli takiej, jaką przy obrzędach religijnych zachowywać powinien, obok niego leżą księgi buddyjskie, *Sutra*, pisane na liściach palmowych i zawierające naukę reformatora religijnego Indyj Wschodnich.

Z podróży do Pragi i Wiednia.

Wyjechawszy z domu z rana, w końcu października, zatrzymaliśmy się najpierw w Olomuńcu, gdzie czekać było trzeba trzy godziny na zmianę pociągu. Korzystając z tego pojechaliśmy obejrzeć miasto. Jest ono po Bernie najznaczniejszym w Morawii, ma przeszło 20 tysięcy mieszkańców, leży nad rzeką Morawą, poboczną Dunaju, na której wielki most zbudowano. Olomuniec bardzo mi się podobał, ma główne ulice czyste i szerokie, domy piętrowe i trzy duże kościoły. Jeden OO. Jezuitów w stylu romańskim, drugi gotycki świętego Maurycego, którego początek sięga XI—XII wieku, a trzeci katedralny najładniejszy, zbudowany z białego kamienia za czasów Wacława III, którego tu zamordowano w r. 1306, ma wewnątrz ładne malowidła i grobowiec tegoż króla. Kościół ten przypomina wiedeński Votivkirche. Naprzeciw katedry stoi pałac arcybiskupi z ogrodem. Zasługuje także na wzmiankę ratusz z XV wieku

Ponieważ czas odjazdu się zbliżał, wróciliśmy więc na dworzec; wkrótce pociąg nadszedł i już bez przerwy dążyliśmy do Pragi, gdzie stanęliśmy o trzeciej godzinie po południu, w hotelu „zum schwarzen Ross” dużym, porządnym i w samym środku miasta leżącym. Z naszych okien widzieliśmy bardzo dobrze Prochową wieżę, zbudowaną za czasów Władysła-

wa II. Całe miasto przecina Weltawa, na której wznosi się przepyszny most Karola IV, zbudowany przez tegoż monarchę w r. 1357; długość jego wynosi 497 metrów, z tego mostu został święty Jan Nepomucen zrzucony do rzeki z rozkazu Wacława IV; na pamiątkę tego męczeństwa wzniesiono tamże brązowy posąg Świętego ulany w Norymberdze. Dawniej na tem samym miejscu był drewniany most, zbudowany przez Judytę, żonę Władysława II już w XII wieku, gdy jednak w roku 1357 most ten został przez wodę uszkodzony, Karol IV kazał postawić dzisiejszy, powtórnie zniszczony powodzią w 1890 r., tak że dotąd nie ukończono jego naprawy.

Tego dnia zwiedziłyśmy jeszcze kościół świętego Karola, zbudowany przez Karola IV go w gotyckim stylu, mający w dwóch oknach bardzo starożytne malowidła.

Pokazano nam także bóżnicę, której założenie sięga XIII wieku. Wisi tu chorągiew, którą pragscy żydzi otrzymali od cesarza Ferdynanda III, jako nagrodę za waleczność w bitwie ze Szwedami. Koło bóżnicy stoi stary ratusz żydowski z tarczą zegarową z hebrajskimi i rzymskimi liczbami. W dniu tym nie widzieliśmy nic więcej, gdyż trzeba było trochę odpocząć, ale nazajutrz rano wstawszy, pojechaliśmy do Theinkirche. Jest to jeden z najładniejszych kościołów w Pradze, w gotyckim stylu, z dwiema wysokimi wieżami. Budowę jego rozpoczęto już w XIV wieku, ale dopiero za Jerzego Podjebrada został ukończony. Do r. 1620 należał do Utrakwistów, po bitwie wszakże pod Białą Górą odzyskano go na nowo dla katolików. Jest tu ambona, z której Hus i jego następcy miewali kazania. W tym kościele znajduje się także grobowiec z różowego marmuru, sławnego astronoma Tycho Brahe zmarłego w Pradze w roku 1601.

Wprost kościoła stoi ratusz z XIV stulecia, ze sławnym zegarem astronomicznym, zbudowanym w r. 1490. U góry ma on dwa okienka, z których za każdym uderzeniem godziny wychodzi dwunastu apostołów, z trzeciego zaś mieszczącego się nad temi dwoma, wyskakuje kogut i pieje. Z obu stron zegara stoją cztery figury ruchome: śmierć, chłop czeski, Judasz i rycerz; najzabawniejszą jest śmierć kiwająca na chłopca, chłop robi ruch przeczący, na znak że jej nie chce, Judasz zaś wzdzwania workiem z pieniędzmi, a rycerz potrząsa halabardą. Wnętrze ratusza bardzo ładne, jest tam kilka sal z dawnemi, pięknemi freskami, tu także jest kaplica z roku 1381. Stąd pojechaliśmy do Hradczynu. Najpierw jednak wstąpiliśmy do katedry świętego Wita, będącej w obrębie murów zamkowych. Początek jej sięga X stulecia, zbudowana w stylu gotyckim ma 12 kaplic, w pośród których zwraca uwagę kaplica świętego Wacława. U jej drzwi wchodowych wisi kółko mosiężne, podanie mówi, że chwycił je święty Wacław, gdy z rozkazu brata jego Bolesława, rzucili się na niego mordercy. Wnętrze tej kaplicy jest wyłożone kosztownemi czeskiemi kamieniami, spojonymi gipsem złożonym. Jest tu także grobowiec świętego Jana Nepomucena, cały ulany ze srebra, oceniony na 210,000 zlr.

Zwiedziwszy katedrę, poszliśmy obejrzeć Hradczyn. Zamek ten założony przez Libuszę, córkę Kroka w VIII wieku, ma trzy wielkie dziedzińce. Jest tu sala Władysława II Jagiellończyka, gdzie odbywały się uczy koronacyjne; od XVI wieku zamieniono ją na salę turniejową. Dalej jest sala niemiecka przybudowana przez Rudolfa II z galerią obrazów.

Trzecia sala, sejmowa służyła do obrad. Czwarta sala pamiątką jest tem, że stąd dnia 23 maja w roku 1618 dwaj namiestnicy cesarscy: Martinic i Slavat oraz sekretarz Fabricyus i hr. Thurn, zostali wyrzuceni oknem z wysokości 16 metrów, przez stromiectwo utrakwistów; na pamiątkę, że upadając nie odnieśli żadnego prawie uszkodzenia, wystawiono na tem miejscu krzyż kamienny. Sliczny stąd widok na Pragę. Piąta sala, hiszpańska, wzniesiona została przez Maryę Teresę, długość jej wynosi 1152 a szerokość 23 metrów. Jest to jedna z największych sal w Europie.

Sale niemiecka i hiszpańska zostały w latach 1867 i 1868

przepysznie oduowane i służą teraz do wszystkich uroczystości dworskich

Z Hradczynu udaliśmy się do kościoła świętego Jerzego, którego założycielem jest Wratysław I; Bolesław II w r. 973 założył tu klasztor Benedyktynów, gdzie siostra jego Mlada, była pierwszą ksienią. Kościół to najstarszy w Pradze, zbudowany w stylu romańskim. Są tu bardzo ładne grobowce Wratysława I, Bolesława II, księżniczki Młady, oraz księżniczki Kunegundy, również ksieni tego klasztoru. W kaplicy św. Ludmiły znajduje się jej grobowiec z XIV stulecia, ozdobiony pięknymi rzeźbami; freski na ścianach przedstawiają cały żywot tej Świętej. Kościół świętego Jerzego otwierany jest tylko cztery razy na rok, turyści jednak mogą go zwiedzać zawsze. Na placu świętego Jerzego stoi także pałac zgromadzenia Kanoniczek, wprowadzonych tu przez Maryję Teresę w roku 1755. Ksienią ich bywa zwykle jedna z arcyksiężniczek austriackich. Z ganku tego pałacu rozciąga się uroczy widok na Pragę i całą okolicę. Stąd poszliśmy obejrzeć Wieżę Głodową t. zw. Daliborka-Thurm, dla tego że niegdyś był tu uwięziony Dalibor z Kozojed, który skazany na śmierć głodową trzy lata utrzymywał się przy życiu, grając tak doskonale na skrzypcach, że zachwyceni tem mieszkańcy Pragi przychodzili pod wieżę przysłuchiwać się muzyce i przynosili mu zarazem pożywienie, które on wciągał liną ukreconą z kawałków płótna. Do tego czasu pokazują jeszcze obraz przedstawiający Dalibora grającego na skrzypcach. Władysław II Jagiellończyk zbudował to miejsce kary dla największych zbrodniarzy. Niedaleko wieży głodowej stoi kaplica Loreńska, postawiona w roku 1626 na wzór „Casa Santa” w Loreto we Włoszech. Zwiedziliśmy także kościół Benedyktynów, t. z. Emaus. Kościół ten i klasztor założony przez Karola IV, zabrali dla siebie husyci, a zakonników wypędzili. Ferdynand III sprowadził na nowo Benedyktynów z Monseratu z Hiszpanii i tu ich osadził, wydaliwszy husytów. Po bitwie pod Białą górą i Nordlingen zawieszono tu zdobyte na Szwedach i innowiercach chorągwie, jako trofea wojenne, z których dziewięć do dziś dnia pozostało. Naprzeciwko Benedyktynów widać kościół świętego Jana Nepomucena zwany „na Skalce”. Został on wybudowany dopiero w r. 1730. Przejeżdżając przez Wenzelsplatz, jeden z największych w Europie, wstąpiliśmy do tak zwanego: „Muzeum Królestwa Czeskiego,” niestety! w tej chwili właśnie zamykano je, gdyż bywa ono otwarte tylko od dziewiątej do trzeciej. I drugie muzeum tak zwane „Rudolfinum” widziałyśmy tylko bardzo pobieżnie dla tej samej przyczyny. Znajduje się tam: galeria obrazów, konserwatorium, tudzież zbiory starożytności.

(d. n.)

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

— I to tak porządnie, że dotąd jeszcze z łóżka nie wstał. Do dziś dnia chory:

— Mam nadzieję, że nie śmiertelnie? — pośpieszył zapytać hrabia.

— Nie... Na szczęście, nie...

Był to już fakt dotykający, rzeczywisty, zaprzeczyc się nie dający. Sędzia czekał z ciekawością jak go wytłómaczy hrabia.

— W tem wszystkiem co od was słyszę — rzekł wreszcie młody człowiek — няма nic, coby się wytłómaczyć nie dało. Jedno mi się niewątpliwem wydaje, to mianowicie, że w zamczysku obrał ktoś sobie mieszkanie. Kto? Nie wiem! W każdym razie nie duchy, lecz ludzie którzy, znalazłszy tam schronienie, interes swój w tem mają, aby się jak najdłużej ukrywać! Złoczyńcy jacyś zapewne...

— Złoczyńcy! — wykrzyknął sędzia Kolc.

— Prawdopodobnie; a ponieważ zależy im na tem, aby ich nie znaleziono, postarali się więc o puszczenie pogłoski, że w zamku przebywają nadprzyrodzone jakieś istoty.

— Jakto, panie hrabio — rzekł Hermod zdziwiony — pan myślisz...?

— Myślę, że wszyscy ilu was tu jest, jesteście niezmiernie zabobonni, że mieszkańcy zamku wiedzą o tem i że umieją zapobiedz niepożądanym odwiedzinom.

Było to najprawdopodobniejsze rozwiązanie zagadki; niech się jednak czytelnik nie dziwi, że nikt trafności jego nie uznał. Spozrzegł młody hrabia, że nie udało mu się przekonać słuchaczy — dodał więc tylko:

— Widzę, że objaśnienia moje nie trafiają wam do przekonania. Myślcie więc sobie co wam się podoba i wiercie w strachy.

— Wierzmy w to, cośmy widzieli, panie hrabio — odparł Kolc.

— W to, co istnieje — dorzucił nauczyciel.

— Niech i tak będzie; żałuję, że mam tak mało czasu, bo wybralibyśmy się, Rocko i ja, na zwiedzenie tajemniczego zamczyska i zaręczam wam, że wykrylibyśmy prawdę.

— Na zwiedzenie zamczyska! — wykrzyknął zdumiony sędzia.

— Bez wahania, sam dyabeł nie przeszkodziłby nam dostać się do środka zamku!

Przestrach zdjął słuchaczy na te słowa tak lekceważące, tak uchwałę. Czy podobne temu traktowanie duchów nie ściągnie jakiego nieszczęścia na całą wieś? Alboż to duchy nie słyszą wszystkiego co się mówi w gospodzie „Pod królem Matyaszem”? Gotów znowu głos odezwać się w izbie, jak wówczas...

Korzystając ze sposobności, uwiadomił sędzia młodego Rumuna o wszystkich okolicznościach tyczących się pogródki rzucanej leśniczemu. Zagrożono mu karą i nie minęła go kara.

Franciszek Telek ruszył tylko ramionami, poczem wstał i obszedłszy całą izbę w około, oświadczył, że nigdy, żaden głos nadprzyrodzony nie mógł być tutaj słyszany. Wszystko to — twierdził — istniało tylko w wyobraźni zbyt łatwomiernych amatorów śliwowicy Jonasza.

Słyszając to, niektórzy zmierzać zaczęli ku drzwiom. Nie uchodziło pozostawać dłużej w miejscu, gdzie młody jakiś sceptyk śmiało utrzymywał coś podobnego.

Ale Franciszek Telek ruchem ręki zatrzymał wychodzących.

— Widzę, moi panowie — zagadnął — że cała wieś pozostaje pod wpływem strachu?

— I nie bez słusznego powodu, panie hrabio — odparł sędzia Kolc.

— A zatem, wskażę wam sposób skończenia raz na zawsze z awanturami dziejącymi się w zamczysku. Pojutrze będę w Karlsburgu i jeżeli chcieć, uprzedzę władzę; tego samego dnia wyprawiają wam oddział żandarmów, albo też agentów policyjnych, a ja wam ręczę, że ci potrafią dostać się do zamczyska i, albo wypędzą stamtąd żartownisiów, którzy korzystają z waszej łatwomierności, albo przyaresztują złoczyńców, którzy może napad jaki obmyślają.

Była to propozycja ze wszech miar zasługująca na przyjęcie, nie przypadła jednak do smaku znakomitościom wioskowym. W przekonaniu ich bowiem ani żandarmi, ani policya, ani całe nawet wojsko nie potrafi pokonać nadprzyrodzonych istot, rozporządzających całym arsenałem nadprzyrodzonych środków obrony.

— Nie powiedzieliście mi jeszcze panowie — dodał hrabia — do kogo należy owo tajemnicze zamczysko?

— Do starej bardzo rodziny tutejszej, do baronów Gorców — odparł sędzia.

— Do Gorców? — wykrzyknął Franciszek Telek.

— Tak; do nich samych.

— Do tych, z których pochodził baron Rudolf?

— Tak, panie hrabio.

— Czy wiecie, co się z nim stało?

— Nie; wiele już lat upłynęło od chwili kiedy baron na Gorcu gościł pod dachem zamczyska.

Franciszek Telek zbladł i bezmyślnie powtarzał zmienionym głosem:

— Rudolf na Gorcu! Rudolf na Gorcu!

IX.

Rodzina hrabiów Teleków, jedna z najdawniejszych w Rumunii zajmowała wysokie w kraju stanowiska, jeszcze w początku XVI. wieku, i zaszczytnie zapisała swe imię w dziejach narodu swego.

W bieżącej chwili — mniej szczęśliwy od owego rosnącego pod zamczyskiem buku — któremu zostawało trzy jeszcze gałęzie — ród Teleków posiadał jedną tylko gałąź, Teleków z Krajowy których ostatnią odrosłą był młody ów panicz do Werstu teraz przybyły.

Dzieckiem będąc, Franciszek Telek nie opuszczał nigdy rodowego gniazda, starego zamku, w którym przemieszkiwali jego rodzice. Cieszyli się oni wielkiem poważaniem w całej okolicy, gdzie świadczyli dużo dobrego, a pędząc wygodne i dostatnie życie szlachty w dobrach własnych osiadłej, zaledwie raz na rok opuszczali swoją rezydencję, gdy interes jaki powoływał ich do Krajowy, miasteczka o kilka mil odległego od ich majątku, noszącego także nazwę Krajowy.

Podobny tryb życia wpłynąć też musiał na wychowanie jedyne go ich syna, na którym silnie odbiło się otoczenie w którym młodość całą przepędził. Jedyńm jego nauczycielem był staruszek ksiądz, Włoch rodem. Nauczył on Franciszka wszystkiego co umiał, ale sam umiał bardzo niewiele, skutkiem czego chłopczyk, wyrósłszy na młodzieńca, bardzo niedostateczne posiadał wiadomości tak z dziedziny nauk ścisłych, jako też ze sztuki i literatury współczesnej. Namiętnym będąc myśliwym, młody hrabia dzień i noc przebiegał równiny i bory, goniąc jelenia lub odyńca, rzucając się z nożem w rękę na dzikie zwierzęta górskie, a że odważnym był i śmiałym, dokazywał też cudów prawdziwych, i coraz większego nabierał zamiłowania do podobnych rozrywek.

Miał zaledwie lat piętnaście gdy umarła hrabina Telek, a nieskończonych jeszcze dwadzieścia jeden, gdy hrabia zginał skutkiem nieszczęśliwego wypadku na polowaniu.

(d. c. n.)

PYTANIE.

Co to jest ciężar gatunkowy?

ZAGADKA ARYTMETYCZNA.

Nie będąc czarodziejem mogę powiedzieć każdemu najdokładniej, w którym dniu, miesiącu i roku się rodził. A co? sztuka nie lada! Aby jej dokonać, potrzebuję tylko znać cyfrę wypadającą z poniżej opisanego działania:

Przypuśćmy, że A. B. rodził się dnia 2-go kwietnia. Dzień jego urodzin oznaczyć przeto trzeba cyfrą 2, a cyfrą 4

kwiecień, jako *czwarty* miesiąc w roku, co się razem wyraża przez 24. Pomnożywszy 24 przez 2, musimy odjąć od iloczynu 5, pozostałą resztę znowu pomnożyć przez 50, dodać liczbę lat jakie A. B. skończył — dajmy na to 10 — potem dodać jeszcze 365. Dla lepszego zrozumienia całą tę robotę wypisuję:

dzień	24	miesiąc	kwiecień
	× 2		
	—		
	48		
	—		
	5		
	—		
	43		
	× 50		
	—		
	2150		
	+ 10		lata skończone.
	—		
	2160		
	+ 365		
	—		
	2525		

Wypada zatem cyfra 2525, którą odłączony od całego obliczenia podać do mojej wiadomości, a ja za jej pomocą wykryję trzy niewiadome rannie daty: *dnia, miesiąca i roku* urodzin.

Józio.

SZARADA.

W odległych czasach, gdy rycerzy grom
Po trudach boju do uczt zasiadało,
By uszlachetnić serca uczuć, pono,
By drugiego, gwoli pieśni przyzywało.
Pierwsza zaś z drugą, dom to w mieście znany:
Cudzoziemskiego jest on pochodzenia,
I przez ubogich często odwiedzany,
Tam bowiem w zastaw za rzeczy znaczenia,
Grosz jakiś w chwili potrzeby dostaną.
Trzecie samolub najchętniej powtarza,
Osobę bowiem najwięcej kochaną
Przezeń mianuje. Co się zwykle zdarza,
Wszystkie te części razem połączone
Inne znaczenie znowu nam podają;
Będzie to nazwa kraju, którego koronę
Królowie włoscy wraz z innemi mają.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Szarady: I — ze — ra.

Łamigłówki sylabowój:

1. MrówkI. 2. IdaliuM. 3. LozannA. 4. TaboR. 5. IfigeniA. 6. AlfabeT. 7. DongolaH. 8. Ebro. 9. Symeon.

Miltiades i Marathon.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Albania (z drzeworytami). — Marzycielka, wiersz p. Izę. — Roznosiciel (dokończenie). — Arcykapłan pogański (z drzew.) — Z podróży do Pragi i Wiednia. — Tajemniczy zamek. — Pytanie — Łamigłówki i rozwiązania. Dodatek: Mały przyrodnik (z drzew.) — Kocio i Kazio. — Figlarz, komedyjka w dwóch aktach p. S. R. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwibrów, Andrzeja Laurie przekład T. P.



W spirytusie biedny węź, a Stefanek dzielny mąż.

MAŁY PRZYRODNIK.

(Dokończenie).

— Może nie, ale gdybyśmy ją potrącili, mogłaby ukąsić.

— A wtedy?

Stefanek po chwili odzyskał zwykłą przytomność umysłu, spojrzawszy swobodniej wkoło siebie, jakby szukając pomocy i trzymając Zosię za rączkę, cofnął się o jakie dziesięć kroków. Wrodzone mu jednak zamiłowanie i w tym nawet wypadku wyszło na jaw.

— Ach Boże! — wyszeptał — gdybym ją mógł złapać!

— Zmiłuj się Stefciu, jak możesz myśleć o tem? Pokąsa nas oboje i pomrzemy. Mama opowiadała mi kiedyś prawdziwą bajeczkę o pastuszkę, co umarł, jak go szkaradna żmija ugryzła. Rzuć na nią dużym kamieniem i zabij.

— O nie! Zmiażdżyłbym jej głowę, a szkoda by mi było tak pięknego okazu, nie prędko zdarzy mi się druga taka sposobność. W całej naszej okolicy żmij nie ma, wiem o tem napewno; ta pani, to gość z dale-

kich stron... ach, mieć ją w słoju! W spirytusie! Zosiuniu! — zawołał nagle po chwili milczenia — biegnij do mego pokoju i przynieś ten słoź z szeroką szyją, co stoi na stole. Ja tu zostanę, bo spuścić z oczu nie chcę mojego skarbu.

— Skarbu... co ten wygaduje! — obruszyła się Zosia, ale pełna szacunku dla starszego brata, nie odważyła się nawet odmówić mu posłuszeństwa. Za minutę była z powrotem.

Stefanek jak kot zaczął się skradać ku swej, niepełnej jeszcze zdobyczy. Upalne słońce lipcowego południa, działało usypiająco na niebezpiecznego, jak go nazwał, gościa — żmija leżała zwinięta w kłęb — nieporuszona. A nuż się zbudzi? Pozna nieprzyjaciela i broniąć życia zemści się straszmem ukąszeniem.

Jeszcze jeden krok... serce biło mu jak młotem... ręce drżały... tchu brakowało... pochylit się i nagłym rzutem przykrył węża szerokim szklanym słojem.

— A!... — odetchnął głęboko. — Teraz przynieś mi jaki kamień, albo cegłę, tam z pod muru; musimy słoź przycisnąć, żeby się nam kochane zwierzątko nie wymknęło. Patrzno Zosieczko, jak się wije i rzuca ze złości; o... podniosła głowę, otworzyła pyszczek... widzisz jaki ma rozdwojony języczek? Jak nim przedziutko porusza... ach, gdyby nie ta szklana ściana, kruchoby z nami było.

— E... wiesz co, Stef, oddalmy się kilka kroków, a potem przewróć słoź tym długim kijkiem, niech sobie ucieka. Mnie jej żal.

— Nie dzidziu, nie możemy jej wypuścić; to bardzo złe stworzenie. Ktokolwiek ją dotknie lub potrąci bezwiednie, a już się mści, kąsa i jadem zatruiwa. Nie wolno nam darowywać jej życia i wypuszczać na wolność takiego wroga.

Stefanek pobiegł pędem do domu, przyniósł ćwiartkę sztywnego kartonu i podsunawszy go zręcznie pod słoź, przewrócił tenże dnem na dół, szczelnie ręką papier do otworu przyciskając. W laboratorium młodego naturalisty znalazła się flaszka najmocniejszego spirytusu, którym też zalano żmiję, zrobiwszy otwór w kartonie. Po kilku sekundach nie żyła.

— Tatusiu! Tatusiu! — wołał Stefanek, wybiegając naprzeciw ojca, wracającego z pola.

— Co takiego?

— Żmiję złapałem!

— Cóż to za niemądre żarty?

— Nie, naprawdę, tato — i w krótko wiedział ojcu całe zdarzenie.

— Ach, dzięki Bogu! Ani wie: bry uczynek udało ci się spełnić... powracam od Jagusi Kodurzaneki, k dziną w rękę ukąsiła, i to u nas w chwasty na grządkach.

— Ach, biedna Jagusia!

— Zarządziłem na prędce pierwszy ratunek i kazałem natychmiast odwieźć ją do szpitala. Może Bóg da, że nic złego nie będzie, bo nawet nie bardzo ręka jej spuchła.

Zdumiony byłem tym wypadkiem, tak w naszej okolicy niesłychanym. Widocznie to jakaś przybłęda i prawie pewien jestem, że ta sama. Spokojnie odetchnę teraz... a tak drżałem o ciebie i Zosię.

— Widzisz Zosieńko, a tyś jej chciała życie darować?

— O, teraz już wcale jej nie żałuję.

— Pójdź sestro miła; zatańczymy sobie indyjskiego obertasa!

— A na obiad będzie krem z piankami! Aha!

— Nie może być!

— Powiadam ci. Byłam w kuchni na minutkę i widziałam.

— Nie! Tyle szczęścia w jednym dniu! Aż mię natchnienie ogarnia. Słuchaj...

Człowiek zwycięża

Podłego węża!

Wiwat krem, żmija,

Stefan, Zofija!

— A co? Nie śliczne wiersze?

— O, wcale nieśliczne, bo żmija i Zofija... Ja tak nie potrzebuję!

— Aj, Boże, jakaś... wybredna... Czekałże... no, to tak:

Zosiuni męstwo

Dało zwycięstwo;

W nagrodę mama

Zrobiła sama

Dla swej dziewczynki

Moc leguminki.

W spirytusie biedny wąż,

A Stefanek dzielny mąż!

— No, nieźle.

— Dajże choć buzi braciszkowi za tę piękną poezję

— rzekła ze śmiechem wchodząc do pokoju mama.

A. Do.

Kocio i Kazio.

Kazio i Kocio mieli porcjiwego niemłodego już nauczyciela, duszą i sercem przywiązanego do nich i do całej ich rodziny. Egzaminował on co sobota swoich uczniów, a jak czego nie umieli, to kazał się im douczać niedzielę... Egzamina tę bardzo im były niemiłe.

— Co to nie plaga egipska takie nauczanie?—Mówi, nie mogąc zasnąć już późno wieczorem zeszłej soboty, tak będzie i jutro, a tu nie umie! I znowu zasadzą do książki podczas gdy inni chłopcy biegają sobie

... w świecie nie znajdziesz takiej nie-
dał Kazio nagle, klękając na łóżku
starszego brata.

... przyszło coś na myśl — rzekł Ko-
... przyrzeknij, że mnie nie wydasz...
... Karol, gdy nie wiedzieć jakim

sposobem będziemy na wszystko bez zająknięcia odpo-
wiadali, bo to już dalej tak być nie może, i da Bóg, uda
nam się złemu zaradzić.

— Skończcie nareszcie, bo zasnę—przerwał mu znie-
cierpliwiony brat, ziewając i przecierając oczy.

— Zaraz, zaraz — odparł Kocio — bo ja ci jeszcze
nic nie powiedziałem... Otóż, urządzimy taką sztuczkę,
słyszysz Kaziu, taką sztuczkę...

Kazio już tylko coś odmruknął, zasypiając na
dobre.

— Śpi, nie ma co z nim mówić — szepnął Kocio,
i sam osunął się na poduszki.

Nazajutrz ledwo świt dwaj bracia już byli na no-
gach. Chodziło im bowiem, aby sztuczka którą wykonać
zamierzali, była ukończoną, nim się domowi przebudzą.
Uzbrojeni w nóż i młotek, udali się do sali jadalnej
umieszczonej nad pokojem gdzie się uczyli, i tam w na-
rożniku poczęli rozszerzać otwór, którym był przepro-
wadzony drut od dzwonka. Opowiedział bowiem bratu
Kocio jak to on poszedłszy na górę, gdy brat będzie
miał wydawać lekcje, spuści mu tym otworem kartkę
na której treść lekcji wypisze, jak Kazio stojąc przy
drucie, będzie mógł chwycić i odczytać kartkę, a na-
stępnie oddać bratu też samą przysługę. Pan Karol
nie dowidzi, więc nie dojrzy podstęp.

Nie zastanowili się wprawdzie, że i bez tego mogli
sobie wprost zachować wypisane karteczki w rękach,
bawił ich niezmiernie ten niby wynalazek, więc przenie-
śli stolik pod sam otwór przy ścianie, i jeden z nich po-
szedł na górę odbywać czynność z karteczkami. Rzecz
powiodła się dobrze, pan Karol pochwalił chłopców
i dziwił się coraz więcej, gdy mali figlarze przez trzy ty-
godnie, regularnie w sobotę, wszystkie lekcje dobrze
powtarzali, chociaż innych dni nie nauczyli się ich wcale.
Dziwna to była i niepojęta rzecz dla poczciwego nauczy-
ciela! Ale złe zawsze się wydać musi; jednym razem
więc podczas egzaminu Kocia, zwinięty papierek zamiast
się dostać w jego ręce, upadł na stół przed nauczycielem,
staruszek wziął go do ręki, obejrzał, rozwinął i przeczy-
tał przepisana lekcją... Następnie spojrzął z pod oku-
larów na Kocia, obejrzał się w około, gdy... o nieszczęście!
Ołówek, wysunąwszy się także z ręki Kazia przesunął się
przez otwór i padł na podłogę z hałasem... Pan Karol
spojrzął w górę, dostrzegł otwór w suficie i widocznie
odgadł wszystko, bo z największym spokojem zasiadłszy
w fotelu, rozpoczął lekcją, ale o czym... Wykładał im
dlugo jak wszystkie podstępny dla wprowadzenia w błąd
starszych, są złą rzeczą. Jak wiecie, mówił, kłamstwo,
cokolwiek na niem oprzemy, nie tylko jest brzydką wadą,
lecz nadto jeszcze zawsze wydać się musi i okryć wsty-
dem tych co się go dopuścili.

Kocio wzruszony był tą przemową poczciwego nau-
czyciela i zawstydzony niezmiernie; gdy więc ten mówić-
skończył, rzucił się do ucałowania ręki jego i wyznał
szczerze swój podstęp. Nauczyciel widząc żal szczerzy
przebaczył winę, tem więcej, że Kocio przyrzekł popra-
wę, co go jednak nie uchroniło przed wyrzutami Kazia,
który z jego namowy tak źle postąpił, i własnego sumie-
nia; które uśpione na chwilę wymawiało mu teraz

gorzko długi szereg kłamstw. Odtąd nie potrzebował się wstydić dawnej swej wady.

FIGLARZ.

KOMEDYJKA W 2-ch AKTACH.

przez S. R.

OSOBY.

NISIA.

JAŚ (starszy brat Nisi).

ZOSIA.

MARYNIA.

IGNAŚ.

WALUŚ.

NAUCZYCIELKA.

NAUCZYCIEL.

SCENA I.

Pokój, na środku stół, na którym książki, kajeta, atrament i pióra. Fortepian i sofa. Przy stole siedzi Nisia i przepisuje z książki. Naprzeciw niej Marynia także pisze. Zosia i Waluś czytają pocichu, Ignas z gramatyką w ręku chodzi po pokoju powtarzając zadaną lekcję.

NISIA (czyta głośno). „Nauka jest źródłem wszystkiego dobrego” (powtarza) źródłem wszystkiego dobrego, prawda! Dobrych nudów i trudów jeszcze lepszych (ziewa przeciągając się na krześle). Zamiast dzieciom dać swobodę, ci nudni nauczyciele zasadzą za stołem i...

ZOSIA. Każą ze schyleną głową wyczytywać to, co sarni wynaleźli na nasze utrapienie!

IGNAŚ. Żeby jeszcze co mądrego było, ale wyobraźcie sobie, pan Sierociński np. powiada w gramatyce, że „noga” się odmienia!

WSZYSTKIE DZIECI. Co? Noga się odmienia (śmieją się) ha, ha, ha!

IGNAŚ. Sierociński mówi, że się odmienia, jakby to był stary kapelusz albo rękawiczki, które jak się zestarzeją odmienić można na nowe... że noga i ręka jako rzeczownik mają siedm przypadków.

MARYNIA (wesolo). Prawda! prawda! dwa przypadki z nogami pana Sierocińskiego widziałam sama; kiedyś podczas ślizgawicy wyrzucił się na trotuarze i kapelusz mu zleciał, to był 1-szy przypadek! a zerwawszy się nieostrożnie, jeszcze raz runął, wsunawszy się do połowy pod mostek, to był 2-gi przypadek.

ZOSIA. E! co też Marynia mówi, czy to o takie przypadki w gramatyce chodzi.

WALUŚ. A o jakie?

NISIA. Czy o takie czy o inne wszystko jedno, dopytać, że geografia, arytmetyka, gramatyka i matematyka, wszystko to razem nieznośne.

ZOSIA (przerywając). To też nie było jak w raju! Ksiądz proboszcz mówił, że ani Adam ani Ewa niczego się nie uczyli, a byli tacy szczęśliwi, jak żaden z ludzi.

MARYNIA. To i my się nie uczyły!

ZOSIA. A nie uczyły!!

WSZYSTKIE DZIECI (wołają skacząc po pokoju). Nie uczmy! nie uczmy! nie uczmy!

IGNAŚ. A egzamin? A nauczycielka co powie?

NISIA. Ach! ta nauczycielka za chwilę już przyjdzie na lekcję, a doprawdy nic jeszcze nie umiem (słychać dzwonek u drzwi).

DZIECI (przerażone). Nauczycielka! Co to będzie?! (Ignas drzwi otwiera, wbiega Jaś wesolo, dzieci z radością rzucają mu się na szyję).

NISIA. Coś ty nam strachu narobił! Myśleliśmy, że to nauczycielka.

JAŚ. To i cóż z tego?

IGNAŚ. Tak! cóż! Lekcyi jeszcze nie umiemy ani dla niej, ani na jutrzejszy egzamin dla nauczyciela.

JAŚ. To się z lekcyi wykręcicie.

DZIECI (zdziwione). Wykręcicie?

NISIA. Mój Jasieczku, tyś zawsze taki dowcipny, urządz jakiego figla, żebyśmy lekcyi dziś nie mieli.

JAŚ (wesolo). Dobrze, dobrze! nic łatwiejszego (wskazując), Ty Ignasiu włóż pół bułki w usta by były niby spuchnięte, obwiąż się chustką i wracaj czempredzej! Nisia i Marynia niech zawiążą sobie głowy, a Zosia i Waluś niech przyniosą miednicę, położą się na sofie i choroba gotowa! Przed nauczycielką już ja was wytłomaczę. (Dzieci wybiegają uradowane).

SCENA II.

JAŚ (sam, śmieje się chodząc po scenie). Ja nietylko nauczycielce, ale im wszystkim figla dobrego wypłatom, urzędzę egzamin przepyszny! Będą pamiętali całe życie, jak mamę kocham!

(Dzieci wbiegają z obwiązanymi głowami i twarzami, Zosia i Waluś z miednicą, Jaś sadza przy stole Nisię i Marynię z głowę podpartą na ręku, Zosię i Walusia na sofce, stawiając na ziemi przy nich miednicę, Ignasiowi każe jęcząc chodzić po pokoju, sam staje na środku sceny i mówi:

JAŚ. Nauczycielki w trzy migi już nie będzie! a jak się wyniesie, Niśka do fortepianu, bał wyprawimy. Tańce i wesołość! Niech lichy bierze naukę!

IGNAŚ (zatrzymuje się). A jutrzejszy egzamin?

JAŚ. I to się załatwi, nauczyciel ma trochę wzrok krótki i trochę nie słyszy, rzędem staniecie, krzesło poza wami, a za krzesłem ja w ukryciu, wszystko wam podpowiem i basta! Dostaniecie nagrody, ręczę wam za to.

DZIECI (zrywają się uradowane, zapominają o chorobie, ściskają Jasia). Jakiś ty dobry, kochany i dowcipny! (słychać dzwonek u drzwi).

JAŚ. Dzieci na miejsce! Nauczycielka idzie! (dzieci układają się jak poprzednio, Jaś drzwi otwiera, nauczycielka wchodzi w kapeluszu z parasolką i książkami, zdejmując rękawiczki i kładzie je na stole).

NAUCZYCIELKA. Co widzę, chorzy jesteście?

JAŚ (z przesadą). Straszny był wypadek: kominiarz wczoraj! (na stronie) oj! nie wiem co to było... aha... kominiarz wczoraj wpadł... wczoraj... wycierając sadze. Kłęby dymu ogarnęły sypialny pokój śpiących jeszcze dzieci i to właśnie nabawiło je tak straszego bólu głowy.

NAUCZYCIELKA. A cóż się stało Ignasiowi?

JAS. Ignasiowi?... A!... Żeby dym z pokoju usunąć otworzono drzwi i lufki, co nabawiło go tej fluksyi.

(Zosia na sofie wybuchła śmiechem).

NAUCZYCIELKA. Z czegoż więc Zosia się śmieje?

JAS. Nie... ona tak ciągle krztusi się od rana, bo ma nudności z tego dymu.

NAUCZYCIELKA. Biedne dzieci! A więc dziś nie będziecie miały lekcji? Żegnam was zatem, do widzenia! Powracajcie prędko do zdrowia. (wychodzi).

JAS (po chwili). Bravo! zwycięstwo!... Teraz do tańca! (Dzieci się zrywają, Nisia idzie do fortepianu, gra polkę, dzieci tańczą... wtem słycać znów dzwonek u drzwi, Jas gasi światło, dzieci przerażone pod fortepian się chronią, Jas przez drzwi zamknięte pyta:) Kto tam?

NAUCZYCIELKA. To ja, zapomniałam parasolkę.

JAS. Zaraz, zaraz, w tej chwili (porywa ze stołu parasolkę i przez wpół zamknięte drzwi oddaje, kłaniając się z przęsadą. Nauczycielka odchodzi). Niebezpieczeństwo minęło, wychodźcie! (dzieci wychodzą z pod fortepianu).

DZIECI. Ale co to będzie z jutrzejszym egzaminem, nic nie umiemy!

JAS. Zobaczycie, i drugi raz tak samo was wybawię.

(Kurtyna zapada).

HOMONIM.

Gdy do obiadu poproszą
To mię najpierw przynoszą.
Liter jednak nie zmieniając
Znajdziesz mię dzieje czytając,
Na tronach ród mój zasiadał
I dwoma ludami władał.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Żmud.

Z następujących sylab: a — da — dra — in — lim — li — mi — nos — se — wid — ułożyć wyrazy z następującem znaczeniem: 1. Król wyspy Krety. 2. Najwyższe indyjskie bóstwo słońca lub rzeka w gub. witeb. 3. Król poeta. 4. Zięć Mahometa. 5. Nazwa kilku sułtanów tureckich z XV wieku. Początkowe litery tych wyrazów czytane z góry na dół i końcowe w odwrotnym kierunku, utworzą nazwę króla Frygijskiego.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 31-go

Szerady: La — to.

Łamigłówni kwadratowej:

a K o r o n a
b T a r c z a
c P i l i c a
d M a l i n a
e B e k a s y
f N a r c y z

Skrzynka do listów.

P. Czaps: z Ozo. Polecając komedyjkę „Grymaśnicę” nie wiedzieliśmy, że jest z obiegu księgarskiego wyczerpaną; posyłamy sz. Pani w zamian inne, jakie tu mieć można do wyboru, nie poręczając wszakże czy się przydadzą. Wraz z przesyłką kosztują kop. 70.

P. Nowak. w Kup. Odebraliśmy tylko rs. 2 gdy półroczna opłata wynosi rs. 2, kop. 50.

Kochana Kingo, na twojem miejscu nie zmieniłabym pseudonymu. Nie jest pospolity, a nie taki wyszukany, jak ten, który chcesz przybrać. Zdaje mi się, że różnimy się w gustach: ja bardzo lubię poezję, ale *Poczęcie*, nie rozpoetyzowanie, może dlatego, że poznawać ją zaczęłam od początku: od starych mistrzów słowa, pełnych prostoty i szczeroci. Późniejszych, te szczególnie utwory, o których w liście swoim wspominasz, czytałam w tym roku dopiero, i to nie sama, lecz przy nauczycielce, która mi objaśniała zawilsze ustępy i kierowała sądem moim.

Czarna perełko, pierwszy raz piszesz do mnie, i bardzo się listem twoim ucieszyłam, bo wiem, że Gołąbka liczy cię do najmilszych sobie korespondentek. Transparenty, o które mnie zapytujesz, wykonywają się następującym sposobem: na stole przykrytym ceratą rozpiąć trzeba gładko kawałek białego tarlatanu wielkości, odpowiedniej rozmiarom szyby, pociągnąć go lekkim roztworem gumy arabskiej i układać na nim zaszuszone kwiaty, starannie wyrównywając płatki, gałązki i listki. Gdy już wszystko znajduje się na miejscu, przykryć drugim kawałkiem tarlatanu, tejże samej wielkości, co poprzedni, przycisnąć kawałkiem ceraty lub najlepiej szklaną szybą, którą u każdego szklarza za 20 kop. dostanie. Na szybie położyć można kilka niezbyt ciężkich książek, aby się pod niemi uleżały dobrze kwiaty. Zostawić to tak parę godzin, aż poddeschnie, nie czekać jednak aż tarlatan wyschnie zupełnie, bo z trudnością dałby się oderwać od ceraty. Z kwiatów ładnie zaszusza się *Coreopsis*, bratki, *Nemophila*, niezapominajki, jaskry, kwiat jabłoni, wrzosu, i w ogóle kwiaty drobne i pojedyncze. Pełne nigdy ładnie nie wyglądają. Z liści najpiękniejszymi są wszystkie rodzaje paproci, liście poziomek, szparagów, mchu, jednym słowem wszystkie listeczki drobne i wyębione. Widziałam takie transparenty użyte jako zasłonki do dolnych szyb okna; wyglądały bardzo ładnie, tem ładniej, że bukiety były ułożone ze znajomością rysunku, a źdźbła mchów i gałązki paproci tworzyły delikatne narysunki, zupełnie podobne do haftu. Rozpisałam się o tem szeroko, bo sama zbierając materiały do takiej roboty i tobie powodzenia życzę w twojej.

Jaskółka.

Bardzo ci wdzięczny za twoją odezwę, Maćku Pod. W ślicznej mieszkasz okolicy, którą bardzobym rad zwiedzić, nacytawszy się o niej w różnych powieściach i niepowieściach; uieraz wyobrażam sobie te piękne widoki, o których wspominasz. „Kraj polisty” jak go nazywa poeta, przez który Wisła się toczy, nie jest bez powabu, nigdy jednak nie jest tak malowniczym jak wzgórza, urwiska i jary. Jak chodzi o płaszczynę, to niema piękniejszej nad morze, które zresztą wcale płaszczyną nie jest, bo fale po niem idą, wysokie jak domy. Dziękuję ci bardzo za szczegóły, które mi dajesz o sobie oraz za szaradę dla mnie przyslaną. Pozdrawiam cię przyjaźnie.

Józio.